

I.F. Baltimare

Autor: Zena92

Jestem Shoemsmith - kuc ziemski, ogier. Mam kochaną żonę Blueberry oraz małego synka Ironsmitha. Wiedziemy spokojne życie w mieście Baltimare. Podoba mi się tu. Spokojna okolica. Mamy dużo znajomych. Wszędzie blisko. Do sklepu też. Piętnaście lat temu zbudowali u nas fabrykę Insecticide Factory Baltimare. Produkują tam insektycydy. Wielu kucykom się to nie podoba. Mówią, że parasprite'y to nasi niżsi bracia w czuciu. Że mają takie same prawo jak my do życia i mają taki słodki wygląd. Ale wiecie co? Kiedy przylatuje chmara kilku tysięcy sztuk tych robali i pożera całe pola i sady w ciągu kilku minut, a potem jesteśmy zmuszani racjonować żywność dla całego miasta przez kilka tygodni zanim przyślą nam zapasy z innych miast, to nie mam złudzeń co należy z nimi robić. Tym bardziej, że z jednego takiego gada w ciągu dnia robi się ich setki. Jedyne wątpliwości budzi lokalizacja tej fabryki. Myślę, że jej budowa w centrum miasta chyba nie była dobrym pomysłem. Equestria Carbide - właściciel fabryki, wyjaśniali, że inwestycja jest bezpieczna, a lokalizacja jest podyktowana łatwością dojazdu robotników. Czytałem kiedyś jakiś raport na temat fatalnego przestrzegania BHP w fabryce, zagrożeniach wyciekami itp. Ale cóż my, zwykli mieszkańcy, możemy zrobić? Nie pójdę i nie przeniosę jej na plecach w inne miejsce. Nasza rodzina nie ma pieniędzy na przeprowadzkę. Ja zarabiam, Blueberry zarabia. Pracuje w jednym ze sklepów z owocami. Lecz kokosów nie ma. Po kupieniu co trzeba, zapłaceniu rachunków zostaje tylko sto monet by odłożyć do skarpety. Były jakieś protesty przeciw fabryce, ale nikt nie zwraca na nie uwagi, ani właściciel ani władze miasta. W końcu nikt nie chce zamykać chlebobdawcy kilkuset kucyków. Tak zatem wygląda nasze życie w Baltimare.

Zmęczony położyłem się spać obok mojej ukochanej. Mały już grzecznie spał od kilku godzin. Wspaniałe dziecko. Jest taki wesoły. Zawsze chciałem mieć syna. Kogoś komu przekażę swoją wiedzę i umiejętności. Kto odziedziczy po mnie warsztat i kuźnię. W tym roku poszedł do szkoły. Dobrze się uczy. Codziennie przynosi piątki do domu. Ma mnóstwo przyjaciół. Za miesiąc ma urodziny i już zaprosił chyba dziesięcioro kolegów. Nie ma jeszcze swojego znaczka. Lecz jeszcze wszystko przed nim. Jestem z niego taki dumny.

Spałem jak zabity. W końcu pojawił się sen. Zwyczajny sen. Szedłem z moją rodziną przez park. Dookoła rzeźby, ławeczki i żywopłoty. Takie jak w parku przy zamku księżniczek w Canterlocie, który widziałem na widokówkach. Od czasu do

czasu mijaliśmy znajomych. Witaliśmy się z nimi. Machaliśmy im. Zwyczajne okruchy życia. Nagle Iron zaczął płakać. Podeszedłem do niego i kucnąłem obok.

- Synku, co się dzieje? - zapytałem.

Odwrócił się w moją stronę, na swoich małych kopytkach. Był cały przerażony.

- Tato, boję się!

- Ale co takiego?!

- To patykowilki! Czujesz?! Ten zapach...

W całym parku zrobiło się nagle przeraźliwie mroczno w mgnieniu oka. Rzeczywiście. Coś śmierdziało. Coraz mocniej. Zaczęło mnie dusić. Odwróciłem się. One tam rzeczywiście stały! Było ich chyba piętnastu. Nie pokonałbym ich w pojedynkę. Nawet z moją siłą kowala.

- Mały, wskakuj! - krzyknąłem, lecz starałem się go nie przestraszyć.

Lecz on nie wskoczył. Zaczął tylko przeraźliwie krzyczeć. Wtedy patykowilki ruszyły na nas. Całą watahą.

Obudziłem się. Chyba. Otworzyłem oczy. Była druga w nocy. Zrobiłem głębszy oddech. Zacząłem kaszleć. Nie wiedziałem dlaczego. Przecież jestem zahartowanym kucem. Jakieś przeziębienia mnie nie łapią. Krzyk nie ucichł. Dobiegał z pokoju syna. Blueberry też już nie spała. Lecz także zwijała się na łóżku przeraźliwie kaszłąc. Zwlokłem się i stanąłem na podłodze próbując złapać oddech między kaszlnięciami. Poszedłem do niego.

- Iron...

- Tato. Nie mogę oddychać... - jęknął łapiąc oddech.

Działo się coś złego. Coś niedobrego. Nie wiedziałem co.

- Co się dzieje? - zapytała Blueberry wychodząc z naszej sypialni.

- Nie wiem - odparłem.

Z ulicy rozległ się hałas. Przeraźliwy. Krzyki. Wrzaski. Tętent kopyt. Wojna? Potwór? Znowu jakiś Discord lub Chrysalis?

- Sprawdzę to - rzuciłem.

Wyszedłem z domu. Setki kucyków biegło ulicą. Wszyscy krzyczeli. Mój kaszel pogorszył się. Z każdym oddechem czułem się coraz gorzej. Wskoczyłem z powrotem do domu.

- Blueberry. Nie możemy tutaj zostać. Musimy uciekać!

- Ale...

- Coś się złego stało z powietrzem. Bierz małego. Chodźmy!

Zona podbiegła do niego. Coraz mocniej słaniał się na nogach. Sprawnie wrzuciła go na grzbiet.

- Trzymaj się mocno! - poleciała mu.

Wyszliśmy z domu. Nawet nie zamknęliśmy drzwi. Tłum gęstniał. Zaczęliśmy biec obok siebie. Widziałem kątem oka inne kucyki. Światło latarń i księżycą rozjaśniało ciemność. Stali oparci o domy. Kaszłąc. Rzęząc. Niektórzy leżeli. Nieruchomo. Jakby spali. Tylko nie pasowała ta piana. Czerwona. Kapiąca.

Biegliśmy. Nie chciałem myśleć o tych kucykach. Chociaż wydawało mi się, że ich znam. Ze znam te twarze. Nie chciałem o tym myśleć. Liczyła się tylko Blueberry i nasz maluch.

- Shoemith! - usłyszałem swoją żonę, a raczej jej pisk.

Zatrzymałem się. Jakiś kucyk biegnący z tyłu wbiegł we mnie. Przewróciłem się. Zatoki i gardło zaczęły mnie palić. Napadł mnie znowu kaszel. Odkasztusłem coś. Podniosłem się. Blueberry zatrzymała się obok ogrodzenia. Osunęła się na kolana. Mały spadł jej z pleców. Bezwładnie.

- Shoemith!

Zakaszła. Upadła na bok. Zwymiotowała.

- Blueberry! - chciałem krzyknąć, lecz moje gardło mi nie pozwoliło.

Dałem radę tylko wycharczeć.

- Weź... weź Irona. Uciekaj...

- Blueberry...! Wstawaj...! Potrzebuję cię! Nie mogę cię zostawić!

Widziałem jej oczy. Przerazone. Przekrwione.

- Spotkamy się... potem... idź... weź Irona...

Pokazała kopytkiem małego. Leżał obok. Spał...

Nie chciałem tego. Spojrzałem ostatni raz głęboko w jej piękne zielone oczy. Lecz one były tylko słabą karykaturą tego co znałem i uwielbiałem. Były takie nienaturalne, przekrwione. Jej piękne niegdyś puszyste loki potargały się. Pokryły się mieszaniną ziemi i leżącej na bruku mazi.

Nie mogłem tak stać. Nie mogłem czekać. Czekanie nic by nie zmieniło. Wziąłem małego w zęby. Ostatni raz spojrzałem na moją ukochaną. Jej bok. Jej znaczek. Koszyk jagód. Rozbłysł. Zniknął. Łzy cisnęły mi się na oczy. Nie chciałem. Pobiegłem. Dalej. Sam. Niosąc syna w pysku. Nie mogłem go stracić. Przynajmniej jego.

Tłum. Bieg. Hałas. Dokąd? Nie wiedziałem. Oni pewnie też nie. Byle dalej. Byle uciec. Ból. Okropny ból. Brzuch. Płuca. Serce. Jakby patykowilki patroszyły mnie swoimi zębiskami. Siły zaczęły ze mnie uchodzić. Zwolniłem. Muszę odpocząć.

Synu! Ja cię uratuję! Tylko zatrzymam się. Na minutkę. Odpoczniemy. Pójdziemy dalej. Zobaczysz.

Uderzenie. Kolejne. Przewróciłem się. Upadłem. Upuściłem go. Wypadł mi. Leżał. Tu, niedaleko. Musiał leżeć. Nie mogłem dojrzeć. Synu! Już wstanę. Znajdę cię. Podniosę. Uciekniemy.

Żołądek podszedł mi do palącego gardła. Ból. Targnęła mną torsja. Jeszcze jedna. Kolejna. Mój brzuch nie chciał dać za wygraną. Przetyk, gardło zapłonęły ogniem. Nawet najgorsze oparzenia od rozgrzanej stali tak nie bolały. Ból.

Obiecuję ci. Iron. Pójdziemy stąd. Znajdziemy mamusię. Wrócimy do naszego domu. Albo znajdziemy jakiś inny. Na wsi. Babcia mieszka tutaj niedaleko w Grovetree. Pokażę ci jak się kuje stal. Jak się robi podkowy. Jak rozpalić piec. To wszystko co mam... to kiedyś będzie twoje. Dostaniesz znaczek. Zrobimy ci

najlepsze przyjęcie w Equestrii. Wynajmę najlepszą organizatorkę zabaw. Obiecuję ci. Wiesz, że tata jeszcze nigdy cię nie okłamał.

Czułem biegnący tłum. Ból w klatce piersiowej był nie do wytrzymania. Uderzenia. W grzbiet. Plecy. Nogi. Były coraz słabsze. Coś chrupnęło. Gdzieś. Nie wiem nawet gdzie. Synku. Tata już idzie. KONIEC.

Izocyjanian metylu. LC50 = 21 ppm (szczur, 2 h)